ROMANS I POWIEŚĆ

Rok XIV. Warszawa, dnia 29 kwietnia 1922 roku. № 17.

Juljusz German. Powieść.

17) TWARZ Z ZA KURTYNY.

Kotara w drzwiach sypialni zakołysała się gwałtownie. Zbigniew Olszański wpadł zadyszany, nie zdążywszy zdjąć płaszcza, z twarzą zróżowioną świeżym powiewem zimy.

— Jest pan doktór! No i cóż? Nie mogłem wcześniej... Prawda, nic nie grozi mojej żonie?—krzyknął, z dziecinną prawie dumą podkreślając ostatnie słowa.

— Na razie nic — rzekł Szreniawa—jeśli tylko pani zastosuje się bezwzględnie do tego, com mówił. Ale to bezwzględnie — powtórzył z mocnym naciskiem, ogarniając wzrokiem młodego oficera, który już klęczał przy łóżku i całował dłonie Lili, gładzące go po włosach i policzkach.

— I od pana to także, nawet przeważnie od pana zależy, panie majorze. Tak, proszę o tem pamiętać. Bo to jest kwestja życia—dodał z surową, groźną powagą. W oczach, błyszczących za szkłami, przewinęła się mgła żalu.

— Przyjdę za kilka dni...

— Co on powiedział, Lileczko?— zapytał Zbigniew gorączkowo, zanim jeszcze echo kroków lekarza przebrzmiało w drugim pokoju. — Nic nie rozumiem. Ten jakiś ton jego grobowy... Odemnie zależy?... Przecież ja dla ciebie krew bym dał serdeczną... Co ma odemnie zależeć?...

Rwał mu się głos zdumieniem przestrachem.

Zarzuciła mu ręce na szyję, zawisła na nim przymilnie, zaczęła mu szeptać do ucha z twarzą bolesną, pełną dziewczęcego wstydu a uśmiechniętą łagodnie. I coraz tuliła go silniej w ramionach, jakby chciała obronić go przed krzywdą.

Wyrwał się z nagłym okrzykiem:— Oszalał ten doktór! Poprostu oszalał!

I przeciw cieniowi obecności przed chwilą żywej zabłysło spojrzenie złe, tnącą nienawiścią.

— Zwarjował — rzekł ciszej, odurzony niespodziewaną wieścią. Przesunął kilkakrotnie dłonią po czole, splątał, rozburzył uczesanie czarnych włosów, zgarniętych bujnie przedziałem ku lewej skroni.

Przez mgnienie oka zastygł mu na twarzy wyraz niecierpliwej, tępej zaciekłości, jakby te lica, lekką poświatą bronzu złocone, tarzały się przed momentem w brutalnie ślepej pieszczocie. Otrząsnął się. Rozgorzały miękko źrenice aksamitnie połyskliwe. Przypadł znów na klęczkach do rąk Lili.

— Więc na prawdę takie chore moje kochanie? To chyba niemożliwe... Niemożliwe—powtarzał z rozpaczliwym uporem, zasłaniając się nim bezradnie przed lodową, nieubłaganą rzeczywistością.

— Taka cudna...i tak cię kocham...

Oparł skroń na krawędzi łoża, przymknął oczy w głuchym, bezsilnym gniewie na moc tajemną, która nad nimi mglisto zawieszona zadrwiła szyderczo z ich pragnień i z ich woli jasno rwącej się do szczęścia. Uczucie, że od tej mocy jest zależnym, upokorzyło go i skrępowało nagłem osamotnieniem.

— Widzisz, maleńki, zanadtośmy się kochali. Teraz trzeba być rozsądnym. To biedne serce... Chciałeś je całować... Nawet całować zabronił... No, pół roku to nie wieczność. Zresztą może mniej — szeptała z bezmierną czułością w melodyjnym głosie, cała spromieniona słodką chęcią, by jego cierpienie uśpić, ukołysać.

Dźwięk tego głosu szarpnął go przypomnieniem jej słów, od rozkoszy gołębio śpiewnych, szeptanych kiedyś w zakątku miłosnej nocy: „Czy chcesz, żebym cię do szaleństwa ubóstwiła"?

Zerwał się, schmurzył brwi, zacisnął usta.

— Niema o czem mówić. Gdy tak być musi... Twoje zdrowie najświętsze, ukochana. Musisz powiedzieć tej twojej Hance, że od dzisiaj będę spał w saloniku. Niech mi tam przygotuje... Głupia dziewczyna... Djabeł wie, co pomyśli... Niech to wszystko...

Machnął ręką ruchem wściekłości.

Blada twarz Lili zadrgała i przez błękit jej oczu przeleciał cień.

— Tak, to był list do nikogo— pomyślała, tuląc dłoń do zapisanych, pomiętych kartek, ukrytych pod poduszką.

Jakby chcąc ubiedz tę jej myśl, od niego się cofającą, objął w błagalnym porywie delikatnym uściskiem jej ręce, opuszczeniem porzucone na jedwabiu kołdry, i przyłożył je sobie do twarzy rozpalonej wzruszeniem.

— Biedactwo, takie chore... I któż mógł przypuścić?...

— I ty biedaczek — powiedziała cicho.

Ujrzała w jego źrenicach przejrzyste a błędne światła, oświetlające maską nagłej obcości zarys lic, znany czule umiłowaniem.

— Ile w nim jeszcze dla mnie nieznajomego? A we mnie dla niego? To ten, przed którym moje ciało nie ma żadnej tajemnicy... Ciało?— zastanowiła się w przelotnem zdziwieniu.

Ktoś zapukał do drzwi. Smagła twarz Hanki odcięła się od fałd ciemnej kotary plamą barwną, jak kwiat granatu.

— Cóż ty tam znowu powiesz?

— Przepraszam panią bardzo. Nie chciałam przeszkadzać—dzwonił zakłopotany głosik. — Ale tam czekają i już drugi raz przyszli. Przynieśli dwa rachunki, od krawcowej i z magazynu... A ja nie mam tyle pieniędzy...

— Oj oj, jaka zrozpaczona! Nudziarka! Załatw to, Zbisiu...

— W tej chwili... Ile tam?

— Równo sto dwadzieścia tysięcy, proszę pana majora — rzekła, akcentując tytuł uroczyście i chmurnie.

Olszański drgnął, wyrwał z kieszeni portfel, wyjął plik banknotów, przeliczył, poczerwieniał, zaczął szperać w przegródkach, przewracać jakieś kartki i bilety trzęsącemi się dłońmi.

— Ach, prawda! Zapomniałam! Jaka ja niemądra! Skądże możesz mieć tyle przy sobie? Przecież to więcej, niż twoja pensja! Nie gniewaj się... Weź to pudełko z biureczka, wiesz...

Na młodzieńczej twarzy oficera zgłębiły się bruzdy koło ust i na czole. Otworzył z hałasem szufladę, wygarnął pieniądze, zmiął razem z wyjętemi z portfelu i podał szorstko Hance.

Dziewczyna wybiegła szybko, błysnąwszy ku niemu z nieufnością i przestrachem oczami kłującemi jak miłe szpileczki.

— Ledwie wystarczyło—szepnął wyschłemi wargami, nie patrząc na nią—zostało w pudełku nie więcej jak dwadzieścia, trzydzieści tysięcy...

Pierwszy raz od ich wspólnego pożycia zziębiło go dotkliwe, śliskim chłodem zginające w dół wrażenie, że jest ubogi przy niej, wytwornej, nieumiejącej rachować się ani liczyć, pierwszy raz objawiło się wśród nich widmo pieniądza, nieuniknioną koniecznością złośliwie wszechmocne.

— I to właśnie teraz, w takiej chwili — schwycił się rękami za głowę.

— A cóż to za historje? Co z tobą, dzieciaku? — powiał orzeźwiająco na jego rozpacz srebrzyście uśmiechnięty głos Lili.—Tem jeszcze będziesz się smucił? Takiem głupstwem? Naprawdę przypominasz mi tę nierozgarniętą Hankę. O co chodzi? Wydaliśmy w pierwszych tygodniach za dużo? Doskonale. Zabrakło nam pieniędzy? Także dobrze. Wezmę z teatru zaliczkę na gażę, jeszcze nigdy nie brałam, choć brali wszyscy. To się dopiero zdziwią i ucieszą! Albo jeszcze lepiej, sprzedam coś z tego...

Wskazała niedbałym ruchem białej, wypieszczonej dłoni na onyksową czarę, wypełnioną do wierzchu klejnotami.

— Warte to chyba z kilkadziesiąt dzisiejszych miljonów, albo więcej...

Dostojny świetlistym blaskiem sznur dużych pereł wił się wężowym skrętem wśród szmaragdów i rubinów, przepychem wschodniej bajki czarownych, a jak zlodowaciałe skry białego słońca przedzierał się przez te wszystkie lśnienia ostry ogień djamentów.

W oczach Zbigniewa zgasły nagle ciepłe połyski, osłupieniem zaszklone. Wyciągnięte ku Lili ręce opadły, fala krwi zaszumiała mu w skroniach.

Skrzyżowały się w nim dwie myśli, w głębię istoty godzące płomiennemi ostrzami: „Jak odaliskę ubrał ją w te skarby inny, któremu cała była szczęściem, tem samem, może większem, niż mnie, o którego pocałunkach jej uroda zapomnieć nie mogła"... I zaraz myśl druga, odwetem za gryzące upokorzenie zbrojna, kościsto potworna: „Gdyby umarła, te wszystkie miljony dla mnie. Byłbym bogaty, bez żadnej troski i bez tych wszystkich niepokojów"...

Drgnął oburzeniem, wstrętem na siebie samego. Nigdy nie zarysowało mu się wyraźniej wrażenie wewnętrznego rozdziału, uczucie, że w nim, raczej nad nim, jest ktoś drugi, jakby wyższy.

„Odpędzić ohydę owej myśli, odpędzić, niech zczeźnie na zawsze! Skąd mogła we mnie zrodzić się, straszna? We mnie! Jak to być może? Przecież to coś okropnego, przecież w tajni najskrytszych zamysłów chcę, żeby Lili umarła" — szarpał się w błyskawicznych mgłach świadomości. — „Umarła? Ta ukochana, jedynie prawdziwa, jedynie? Zgiń, przepadnij przez podszepcie potworny! Już byłeś, czy potrafię zapomnieć, żeś był, żeś powstał we mnie"!

I cień ohydy, wbrew jego woli, całym wysiłkiem się broniącej, przytrzymywał na onyksowej czarze z klejnotami jego oczy, zastygłe osłupieniem, budząc w nich ukradkowy, pożądliwy błysk. Błękitne spojrzenie aktorki patrzyło nań śmiało i żałośnie.

— Rozumie się, że kiedyś, gdyby się ze mną co stało, to wszystko twoje będzie, Zbisiu — zaszemrał jej głos łagodnie zmęczony.

— Lili!—krzyknął jak rażony ciosem rozdzierającym w strzępy żywe ciało, wszystką mękę jednej długiej sekundy, wszystką miłość okrwawioną serdecznie w ten krzyk wkładając, aż echo zadrgało jękiem o ściany pokoju.

Ujęła gorąco w dłonie jego twarz, zbliżyła do swojej bladej, oświeconej lazurowym żarem oczu.

— O to ty! To ty! Pokazałeś się znowu, najdroższy... — szept słodkiej, oddychającej ulgą radości.

I za chwilę tkliwy uśmiech dziewczynki na ustach jasnoróżanych:

— Płaczesz? Nie wstyd ci? Pan major, dowódca pułku... A jak ja się rozpłaczę i damy koncert we dwoje?...

Wieczór już zapadł. Cienie wyszły z kątów, rozsnuły gęstą gazę mroku, zlekka, ostrożnie zarzucając ją tylko na białą pościel i jasną twarz kobiety.

Lili zasnęła. Zbigniew siedział w fotelu przy łóżku. Słyszał jej cichy, niedostrzegalny prawie oddech. Słyszał przed półgodziną, jak przy jego sercu biło jej serce rytmem nierównym, zatrzymującym się leniwo, to znów gwałtownie pospiesznym, niecierpliwym, niby pełnym zapytania i prośby: „Otwórzcie, otwórzcie"...

— Śpi, a w niej, w jej śliczności śpi tajemnica choroby, wielka, obojętna, swoim torem niepowstrzymanie krocząca, nad nami władna, jak piorun nad drzewem, które ma strzaskać...

Zacisnął pięść odruchem protestu i dumy.

— Wszystko zrobię, żeby... Nie będzie moją kochanką pół roku... Najsłodsza, to szczęście moje... Ale z żelaza trzeba być...

Przymknął oczy. Gorycz miłosnego opuszczenia wiodła go sennie w błędne majaki marzeń. Zmęczony niedawnem cierpieniem, broniąc się przed szarpiącym bólem tęsknoty, odganiał od siebie cisnącą się dotkliwie, uchwytnym jeszcze urokiem ciepłą pamięć upojeń w ramionach Lili, w których tajemnicze upodobanie ożyło pełnią szczerego zachwytu.

„Nie myśleć o niej, jako o kochance, nie myśleć! Tylko jako o najdroższej"!

Gdy wyzdrowieje, wróci to wszystko, piękniej wróci. A tymczasem... Ach, żeby była wojna, żeby rzucić się znowu w wir drgający czerwonemi błyskawicami i jasnem złotem niecodziennych chwil!! Z sowietami prędzej, czy później... Gorszy od moru idzie od nich wiew podstępny, zgniły, wciska się w granice, falą brudną nienawiści się pieni... Prędzej czy później... Odznaczyłby się z pewnością, biłby się lepiej, niż kiedykolwiek. Teraz, gdy ma Lili. Niktby może nie śmiał wtedy powiedzieć, jak kiedyś w teatrze, gdy czekał na nią za kulisami, potrącany przez spieszących się aktorów: „Ten mały majorek... ach, to mąż Lili Dowgird". I uśmiech niedbały usunął się po jego mundurze, odznakach, po jego krzyżu „Virtuti", jako po czemś nic nie znaczącem, obojętnem.

Dalszy ciąg nastąpi.

ZIARENKA PIASKU.

O WŁOSACH.

Moim koleżankom rówieśnicom.

Z serdecznem wzruszeniem spotkałam się znów z Wami, moi Koledzy i Koleżanki, w czasie mej ostatniej bytności w kraju. Głęboko w sercu tajone uczucia odezwały się z całą siłą dla Was—wspomnienia mojej kochanej przeszłości, dla Was — żywe akordy ubiegłych harmonji mojego życia.

Choć nie wszyscy odpowiedzieliście uśmiechem przyjaźni na moje pozdrowienie, patrząc na Wasze twarzyczki jeszcze okrągłe, różowe i gładziuchne — młodniałam sama! Zapomniałam o moich brzydkich zmarszczkach pod oczyma, o linjach, które twarz mą poryły w jakąś dziwną figurę geometryczną... Chciwy wzrok zatapiając w Wasze kędziory czarne, miedziane, złote, medytowałam nad złośliwością natury, która moje kosmyczki tak gęsto przyprószyła popiołem...—Cóż znowu,—mówiłam sobie w Warszawie, patrząc w lustro, przecież jesteśmy w tym samym wieku. — Ale po co wdawać się w tak zawiłe kwestje... Raczej opowiem Wam, moje piękne Panie, najlepiej, jak umiem, historję moich siwych włosów, a zwłaszcza tego srebrnego promienia nad lewą skronią, który zmienił kolor w przeciągu 15 minut.

Do Trichinopoli *), czyli miasta Trzygłowego demona, przyjechałyśmy ja i moja kuzynka nad wieczorem, trochę smutne, jakby w przeczuciu jakiegoś nieszczęścia. Dziesięć dni nie widziałyśmy Białej twarzy! Przebiegając południowe Indje w dość późnym sezonie, nie spotykałyśmy już wcale turystów, wogóle dość rzadkich w tych stronach. Zatrzymując się po drodze w miejscowościach, gdzie rozsiadły się wielkie hinduskie świątynie, raz tylko mignęła nam na jakiejś stacji, z pod korkowego hełmu, para błękitnych przekrwionych oczu, ożywiających się nagłym błyskiem na nasz widok. Usta spalone, o bolesnej zmęczonej linji, wyprostowały się przyjaznym uśmiechem, wargi wyszeptały niedosłyszane wyrazy dobrego życzenia. Ale trwało to mgnienie oka...

— No, niema co, droga Joanno, jesteśmy tutaj z własnej a nieprzymuszonej woli. Chodźmy podjeść rice and curry, popić whisky and soda, bo jutro z rannym brzaskiem mamy zwiedzać olbrzymie hinduskie Sopurams—będzie, co będzie.

Nazajutrz rano, pierwsze starcie przed hotelem z przewodnikiem. Dla każdego Hindusa z „wyższej sfery" wszyscy ludzie, którzy do ich kasty nie należą, są „outcasts". Jakże to określić po polsku? Wyrzutki społeczeństwa? Nie — to za mało. Ot, podobnie, jak dla ludzi zdrowych człowiek trędowaty lub chory na ospę, z tą różnicą, że w sercu Brahmina nigdy nie obudzi się dla żadnego „outcast" — czy to białego, czy kolorowego—litość, lub współczucie. Oni nie znają Miłosierdzia. Żyją w jakimś fanatycznym egoizmie, który wysusza im mózgi i pali serce ciągłą trwogą o utrzymanie czystości swej kasty, którą lada dotknięcie palca zwykłego śmiertelnika może skompromitować; przytem Brahmin (właściwie klasa kapłanów) jest leniwcem, słabym fizycznie i zdegenerowanym moralnie. Hindus w życiu doczesnem lęka się trzech rzeczy: demonów, kapłanów i utraty kasty. Przychylność pierwszych stara się uzyskać praktykami, graniczącemi często z torturą cielesną; błogosławieństwo drugich—darami, składanemi w naturze i jałmużną; utrzymanie zaś kasty—ślepem posłuszeństwem względem obowiązujących ją przepisów.

Brahmin-pasożyt jest chytry i przebiegły, jak lis. Nienawiść do Anglików i wyzyskanie głupiego Europejczyka jest dlań prawdziwą rozkoszą.

Siadamy do powozu i wskazujemy przewodnikowi miejsce obok woźnicy. Zamiast usiąść, spogląda na nas z góry i mówi wolno:

— Nie mogę siadać obok niego.

— Dlaczego?

— On jest Sudra *).

Poskramiając mój osobisty, nie kastowy, ale rasowy wstręt, wskazuje na przednią ławkę powozu. Hindus nie daje odpowiedzi, ale, otwierając koszulę na piersiach, pokazuje mi sznureczek bawełniany, oznakę kasty najwyższej, „podwójnie urodzonego" Arya *). Jestem Brahmin! Proszę wziąć mi drugi powóz.

— Ani mi się śni!—odpowiadam po polsku. A potem, podsuwając mu pod nos pięść z herbowym pierścionkiem na palcu, dodaję: — Oto moja kasta! Jeśli ja jestem „an outcast" dla ciebie, to ty jesteś „a pig" **) dla mnie, dla którego nie wydam pięciu Rupees nadaremnie. Siadaj tutaj. Nogi precz z powozu, na stopień. A bacz, żebyś mnie nie dotknął!

Ruszamy. W dziwnej pozycji: my—z nogami, skręconemi na lewo, on—z kolanami na prawo, rozdzieleni wpółotwartą parasolką i kijem brahmina. Przejeżdżamy tak kilka mil angielskich w przepyszny chłodny poranek, zdążając do największej świątyni brahmińskiej Sri Rangam, położonej na wyspie, którą dziwnym kaprysem natury tworzy rzeka Cauvery.

Niech Wam kto inny opowie, ile Gopurams znajduje się na „obszarze świątyni" Sri Rangam, ile mają one stóp wysokości a ile szerokości u podstawy. Mnie osobiście jest to wszystko jedno. Z płaskiego dachu sali „o tysiącu kolumnach" zrozumiałam, że obwód, w którym zamknięto owe kolosalne świątynie, owe Gopurams, które właściwie są wieżami, wzniesionemi nad zewnętrznemi bramami i wewnętrznemi przejściami, łączącemi niezliczone podwórza i korytarze — jest olbrzymi. Nie znam nic w Europie ***), co mogłoby iść w porównanie pod względem wielkości i powagi z brahmańską architekturą w stylu Dravidian. W Wysokim Egipcie jedynie świątynie Karnaku i Luksoru, ten prawdziwy cud architektury ludzkiej, które znacie wszyscy przynajmniej z reprodukcji, przewyższają majestatem i potęgą swych cyklopicznych form hinduski Sri Rangam. W obrębie tej świątyni, poświęconej kultowi Vishnu, mieszka przeszło 20.000 Brahminów: z rodzinami, wspólną kuchnią, sklepikami, skarbami, świętemi słoniami, krowami, małpami i wszystką rzeczą, która jego jest.

---

*) Trichinopoli, położone w południowo-wschodniej części półwyspu indyjskiego, nad rzeką Canvery, wybrzeże Coromandel.

*) Sudra—kasta najniższa (postawiona obok paryah) wyszła, wedle legendy, z nóg Brahmy. Nie mają oni nawet prawa brać udziału w świętych ceremonjach.

*) Według kodeksu „Manu", z trzeciego wieku p. Chr., Hindusi podzieleni zostali na 4 kasty: pierwsza—Brahminów, druga — wojowników, trzecia — rolników i handlarzy. Komponenci tych trzech klas, pochodzenia aryjskiego, mają prawo do zaszczytnego tytułu „podwójnie urodzonych". Czwarta kasta, niearyjskiego pochodzenia, podbitych Sudra, była klasa niewolników, uważana do dnia dzisiejszego za nieczystą.

**) Świnia.

***) Nasz Watykan jest w porównaniu skromny w wymiarach. Moskiewski Kremlin wydaje mi się gniazdem, pełnem dość wrzaskliwych piskląt.

dząc co się dzieje, chwyciła ją za ramię.

Lydja drgnęła pod tem dotknięciem. Paweł otarł się prawie o nią w przejściu, nie spuszczając z niej oczu. Lydja stała nieruchoma. Gdy junkrzy zniknęli pod sklepioną, krwawego koloru bramą, rzekła tylko jeden wyraz:

— Wracajmy.

Minęły bez trudności kordon czerwonych żołnierzy, baraszkujących pomiędzy sobą i w kilka minut znalazły się przed pałacem księcia Wołyńskiego. Przez całą tę drogę Lydja nie otwierała ust. Pożegnała przyjaciółkę i poszła sama na górę, gdzie zamknęła się u siebie.

Około siódmej Mikołaj Sawinski kazał się jej zaanonsować. Odpowiedziała, że ma migrenę i że nie może zejść. Czuła, że w tej chwili nie zniesie jego widoku. Powtarzała sobie z gniewem słowa, które powiedziała dziś rano:

— Parada cyrkowa! parada cyrkowa!

Widziała się uśmiechniętą przy boku tego człowieka i nienawidziła samą siebie.

Nadszedł wieczór. Lydja nie zeszła na obiad. Była oburzona na swoich.

— A mój ojciec oklaskuje Lenina. Stracił chyba głowę. Katia ma słuszność. Ludzie powarjowaii. Poco się mordować wzajemnie? Co Paweł zawinił tym żołnierzom? Dlaczego mają do siebie strzelać? Przecież to są wszystko Rosjanie. Niema w tem żadnego powodu.

Godziny mijały. Lydja podchodziła wciąż do okna. Nawprost niej Newa burzyła swe czarne, wzdęte wody. Żaden szelest nie przemykał przez podwójne, oklejone okna. Na Bulwarze Pałacowym nie było żywej duszy. Panowała grobowa cisza. Lydji zdawało się chwilami, że mieszka w jakiemś wymarłem mieście. Ale ta cisza uśpionego miasta uspokoiła ją.

— Nie biją się — pomyślała. — Mikołaj Władymirowicz miał słuszność.

Fala nadziei zalała jej serce; zabarwiła krwią bledziuchne policzki.

— On ma zawsze słuszność — myślała dalej. — To jasne; przyszło do porozumienia pomiędzy wojskami pałacowemi a rewolucjonistami. Gadają, gadają bez końca, jak zawsze u nas. Nikt niema ochoty dać się zabić. Będą gadali do rana, a potem każdy wróci do siebie.

Wyrzucała sobie niemal, że przeżyła taką mękę dla niczego. Miała nawet żal do Pawła, że stał się przyczyną tych niepotrzebnych tortur.

— Zemszczę się na nim jutro, gdy go zobaczę — pomyślała.

I uśmiechnęła się po raz pierwszy.

W tej samej chwili dała się słyszeć w pobliżu straszliwa strzelanina. Było koło dziesiątej. Rozpoczynał się szturm do Pałacu. Wkrótce usłyszała Lydja przeciągły klekot mitraljez.

I nagle gwałtowny, głuchy odgłos wstrząsnął oknami. Blask rozświetlił czarne niebo i ukazał jej na drugim brzegu Newy twierdzę Petropawłowską, jakby przycupniętą na równym poziomie z rzeką.

— Armaty! — powiedziała sobie Lydja i na chwilę życie w niej zamarło.

— Co oni uczynią, biedaki? — powtarzała w myśli.

Strzelanina trwała w dalszym ciągu. Raz poraz słychać było gwałtowny trzask ręcznych granatów, a od czasu do czasu głęboki huk armat głuszył wszystko.

Lydja ujrzała przed oczyma wyobraźni ten widok, na jaki patrzyła po południu i widziała junkrów ukrytych pomiędzy kłodami.

Lydja nie myślała już o niczem. W rzadkich odstępach wszystko cichło.

Potem znów dawał się słyszeć wystrzał karabinowy, potem gwałtowna, bezładna strzelanina! Trwało to bardzo długo.

Lydja straciła świadomość czasu. Wyczerpana położyła się na łóżku i schowała głowę pod poduszki, aby już nic nie słyszeć. I wkrótce zmęczenie wzięło górę nad nerwami i usnęła.

Gdy się obudziła było już zupełnie cicho. Spojrzała na zegar. Wskazywał trzecią po północy. Lydję przejął dreszcz.

— Śniło mi się — szepnęła. — Co za straszliwy sen.

Miała jeszcze siłę zgasić światło elektryczne i usnęła jak dziecko.

Gdy się znów obudziła, Katia stała przy niej ze śniadaniem.

Wspomnienie nocy powróciło Lidji. Zadrżała.

— Co się stało? — zapytała. — Słyszałaś w nocy?

Stara niańka uśmiechała się.

— Jest wiadomość od twego krewniaka Pawła — rzekła. — Jest w bezpieczności w szkole.

Lydja opadła na poduszki.

— To straszliwy sen—szepnęła — i dwie wielkie łzy potoczyły się po jej policzkach.

II.

ROZLANA KREW.

Trzy dni, jakie nastały po przyjściu do władzy bolszewików, wystawiły nerwy mieszkańców stolicy na najcięższą z dotychczasowych prób.

Najsprzeczniejsze wieści przelatywały z ust do ust, budząc to najżywsze nadzieje, to najgłębszą rozpacz.

Bolszewicy zgromadzeni na uroczystem posiedzeniu w Smolnym Instytucie, w środę wieczorem siódmego listopada dali ujście radości swego tryumfu. Nigdy od pierwszego dnia rewolucji nie słyszano tak pełnych upojenia okrzyków. Dotychczas chwilowi władcy rozpływali się w nauczaniach na uroczysty temat nieuniknionej ruiny Rosji. Dziś wreszcie ujrzano ludzi winszujących sobie zwycięstwa i głoszących z zapałem erę powszechnego szczęścia.

Nie wątpili w siebie i pierwsze posiedzenie drugiego panrosyjskiego kongresu Sowietów, któremu przewodniczył Lenin, zastanowiło wszystkich dziką i dumną radością, buchającą z każdego słowa prowodyrów tego historycznego dramatu.

Ale trzeba było, aby rzeczywistość odpowiedziała zapewnieniom przywódców nowego rządu. Faktycznie byli sami, z kilkoma tysiącami żołnierzy, marynarzy, czerwonogwardiejców, którzy ich wynieśli do władzy. Cała maszyna państwowa przestała nagle działać. Olbrzymia biurokracja stołeczna zastrajkowała. Żaden urzędnik ministerjalny, żaden funkcjonarjusz nie chciał pracować dla ludowych komisarzy.

Bolszewicy opanowali telegraf centralny i słali odezwy na całą Rosję, ale nie otrzymywali odpowiedzi. Rosja nie chciała rozmawiać z nimi i zamknęła się w niepokojącem milczeniu.

Rzadkie wieści, jakie dochodziły zgłębi, nie były pomyślne. Podróżni przybywający z Moskwy opowiadali, że miasto było w ogniu i krwi, że junkrzy bili się z wojskami rewolucyjnemi. W samym Petrogrodzie nawet zwycięzcy byli tak słabi i czuli się tak zależnymi od okoliczności, że pozwalali swym przeciwnikom, socjal-demokratom i mienszewikom, zgromadzać się w pałacu na Fontance, aby jawnie przeciwko nim walczyć.
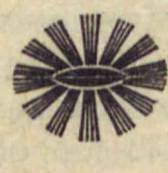
Dalszy ciąg nastąpi.